

U twórcy polskiego lasera

**Głos
Tygodnia**
POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY
DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO
Nr 99 Poznań, 8. IX. 1963 Rok III

Niedawno prasa i radio podały, że w Polsce udało się skonstruować dwa pierwsze lasery. „Laser” — słowo u nas dołąd nie znane. Co to takiego? Ludzie zaczęli sobie tłumaczyć po swojemu, i wnet powstała plotka, że laser jest urządzeniem, które siłą swego promieniowania zdolne jest zabić człowieka lub rozpruć kase pancerną.

— Czy zechciałby pan wyjaśnić, ile w tym prawdy? — Rozmawiam z panem Bohdanem Paszkowskim, profesorem Katedry Przyrządów Elektronowych na Wydziale Łączności Politechniki

Warszawskiej, gdzie właśnie powstał jeden z polskich laserów.

— Nie trzeba dowodu w postaci rozprutej kasy pancernej, żeby dostrzec rewolucyjną, jakiej w świecie techniki zaczyna dokonywać laser. W przyszłości zastąpią one fale radiowe, stosowane dotychczas do przesyłania rozmów telefonicznych, muzyki, telewizji — słowem posłużą do przekazu wszelkiego typu informacji.

— A na czym właściwie polega istota lasera?

— Krótko mówiąc, na promieniowaniu tak zwanych jednospojonych i spolaryzowanych fal świetlnych, których laser jest źródłem. Nie można tego uzyskać stosując tradycyjne źródło silnych promieni świetlnych, jak na przykład reflektory w latarniach morskich. Szerokość pasma świetlnego lasera umożliwia przy tym przesyłanie niezliczonej ilości audycji, a mała rozbieżność wiązki świetlnej pozwala na przekazywanie tych informacji przy zużyciu stosunkowo „małej energii. Owe światłowodowe, czy „dukt” świetlne, jakbyśmy je nazwali, są tak precyzyjnie nakierowane na swój cel, że umożliwiają to całkowicie podśluch i zakłócenia. Czego oczywiście nie daje się wykluczyć przy rozchodzących się na wszystkie strony falach radiowych. I stąd praktyczna wyższość fal lasera. Precyzja w przekazie informacji w urządzeniach laserowych nie ma sobie równych.

Jakby to pani zilustrować...? Weźmy, na przykład zegar laserowy, który w ciągu... — profesor Paszkowski oblicza coś szybko na kartce — tak, który w ciągu 100 tysięcy lat opóźniłby się zaledwie o jedną sekundę.

— Imponujące! Ale po co komu właściwie taki zegar?

— Zapomina pani o precyzji tego typu, koniecznej przy nawigacji pojazdami kosmicznymi. Tu rola laserów jest wprost niezastąpiona.

— Czy wiele krajów na świecie posiada lasery?

— Oczywiście ich są Stany Zjednoczone, gdzie pierwszy laser powstał niecałe trzy lata temu. Obecnie, na badania laserowe idzie tam 150 milionów dolarów rocznie, a kadra naukowa wynosi 2000 osób. Prócz Ameryki Północnej lasery posiada Związek Radziecki i niektóre

kraje o najwyższej technice, no a teraz i my.

— Znaleźliśmy się więc w doborowym towarzystwie! Prasa podała, że nasze lasery są gazowe. Czy istnieją jeszcze jakieś inne ich rodzaje?

— Tak. Krystaliczne. W laserach gazowych wytwarzanie fal odbywa się w środowisku gazów szlachetnych, a w krystalicznych źródłem fal są kryształy, na przykład rubiny.

— Czy oba te rodzaje laserów mają te same zastosowania?

— Nie. Lasery gazowe wysyłają wiązki światła ciągłe i służą przede wszystkim do komunikacji i precyzyjnych aparatów naukowych. Kryształowe, natomiast, dają krótkie, bardzo silne impulsy światła. Dlatego stosuje się je przy topieniu metali, przebijaniu wszelkich twardych podłoży — owe kasy pancerne, o których pani wspominała — i w wielkiej domenie chirurgii, tak zwanej, bezkontaktowej. Niech sobie pani wyobrazi chirurga, który nie dotykając pacjenta narzędziem, a posługując się jedynie niewidocznym „drutem” świetlnym z nieomylną precyzją zdejmując kataraktę z oka. A operacje mózgowe, gdzie bezpośrednio interwencja chirurgiczna jest niemożliwa... Doprawdy, nie będzie przesadą, gdy powiem, że lasery stanowią epokę, i że dzięki nim ulegnie przemianom wiele dziedzin naszego życia, tym bardziej, że są to dopiero początki. Nie jesteśmy jeszcze w stanie przewidzieć, jak szerokie zastosowanie laserów przyniesie przyszłość. W każdym razie, będą one rewolucyjne.

Rozmawiała E. B.

Rozmowa z prof. Bohdanem Paszkowskim

8 września 1939 r. radiostacje dowództwa Armii „Poznań” i Armii „Pomorze” odebrały nadane otwartym tekstem hasło: „Słońce wschodzi”. Był to znak, że znajdujące się już w Brześciu nad Bugiem Naczelne Dowództwo WP zaakceptowało propozycje dowódcy Armii „Poznań” gen. dyw. Tadeusza Kutrzeby dokonania znad Bzury zwrotu zaczepnego. Generał Kutrzeba chciał przerwać odwrót armii poznańskiej i pomorskiej, pobić pracującą w Warszawie 8 armię Wehrmachtu gen. von Blaskowitza i odebrać Łódź.

Zadzwizęwały polowe telefony, pomknęli na motocyklach gońcy. Armia „Poznań” zatrzymała się w odwrocie. Dywizje piechoty, brygady kawalerii, baterie dział zajmowały wyznaczone stanowiska. To samo robiły jednostki Armii „Pomorze”, już mocno poszarpane w Borach Tucholskich, której dowódcą gen. Władysław Bortnowski podporządkował się generałowi Kutrzebie. W żołnierzy i oficerów wstąpił nowy duch. Wiedzieli, że nareszcie pójdą do natarcia, wierzyli, że zwyciężą.

Następnego dnia na olbrzymiej przestrzeni od dolnej Bzury przez Sochaczew, Łowicz, Głowno, Skierniewice i Rawę zagrały polskie działa. Nie strzelały długo, wrześniowa armia cierpiała na brak amunicji. Szybko umilkły a z lasów i ściernisk z płonących wsi i miasteczek wyszły głębokie tyraliery w zielonych mundurach i ruszyły do frontalnego natarcia na oddziały 8 armii Wehrmachtu. Trzyście polskich dywizji piechoty i trzy brygady kawalerii rozpoczęły kontratak. Ale tupotowi żołnierskich nóg nie towarzyszył warok czołgów i na bezchmurnym niebie tamtego września nie pojawiły się samoloty z białą-czerwoną szachownicą.

Na czele polskich sił nacierała w kierunku na Stryków Grupa Operacyjna gen. Edmunda Knolla-Kownackiego. Wbiła się na północ od Brześcia w 30 dywizję piechoty Wehrmachtu i powoli spychała ją na zachód. Żołnierze Knolla w przebiegającej większości chłopcy spod Poznania, Gniezna i Kalisza widzą się już wyzwoliciełami Łodzi. Polska kontrofensywa przybiera stopniowo coraz większy rozmach. Olbrzymi bój grzmi kanonadą setek dział oświadcza go luno płonących wiosek. Jeszcze 9 września piechota polska odbiera w krwawym boju wręcz Łęczycę. Bataliony 25 dywizji piechoty wdzierają się w nocnym boju do Rawy. 11 września 17 polska dywizja piechoty bije pod Celestynowem 17 dywizję piechoty Wehrmachtu. Armia „Pomorze” naciera na Skierniewice a Wielkopolska Brygada Kawalerii, atakując w szyku, łamie pod Głownem zmotoryzowane jednostki wroga. Niemcy naciskani na całej linii wycofują się na zachodni brzeg Bzury. 1500 jeńców wędruje na tyły polskich jednostek.

WOJCIECH SULEWSKI

Było to nad Bzurą

„Robiliśmy znaczne postępy, chociaż nigdzie nie udało się dokonać prawdziwego złamania lub przełamania — upominał później gen. Kutrzeba. — Przeciwnik odczekał, pozwolił, ponosząc bardzo ciężkie straty. Lecz i nasze krwawe straty były wielkie, mimo że w tych dniach ani lotnictwo ani czołgi nieprzyjaciela nie występowały w tych ilościach jak w następnych dniach bitwy. Bito się z zacięciem i odwagą. Mogli bohaterów... będą kiedyś świadczyć o tym jak Armia Poznańska pojęła swój żołnierski obowiązek bicia Niemców”.

13 września Naczelne Dowództwo Wehrmachtu, zaniepokojone bardzo sytuacją, jaka powstała w wyniku kontrofensywy polskiej, rzucił nad Bzurę i pod Łódź wielką ilość lotnictwa. Na polu bitwy pojawiają się odwołane spod Warszawy dywizje pancerne z 10 armii von Reichenau. Ofensywa polska traci rozmach, zamiera aż wreszcie przekształca się w rozpaczliwą walkę obronną dywizji piechoty i brygad kawalerii miazdżonych gasienicami czołgów i nalotami bombowców.

Jeszcze tydzień trwały zażarte boje nad Bzurą i na piaszczystych Kampinoskiej. Oddziały Armii „Poznań” i „Pomorze” torowały sobie bagietkami drogę do Warszawy. Ginęły w nierównej walce, ale wciąż próbowały kontratakować. Jeszcze 16 września resztki 17 dywizji piechoty pułkownika Mozdyniewicza szturmowały zajęty przez Niemców Sochaczew. W krwawych walkach odwrotowych poległ dowódca do ostatniej chwili dowódca 14 dyw. piech. Franciszek Wład i dowódca Pomorskiej Brygady Kawalerii gen.

Grzmot — Skotnicki. Niemcom nie udało się zamknąć i zniszczyć wojsk Armii „Poznań” i „Pomorze” na bezwzględnej przestrzeni Puszczy Kampinoskiej. Większość ich na czele z gen. Kutrzebą przebiła się w dniach 19—20 września do oblężonej Warszawy. Drogę torowała kawaleria z Wielkopolskiej i Pomorskiej brygady szaleńczymi szarżami pod Wólką i Węglową i koło Miłocina, które wprawiły w podziw obecnych przy armii niemieckiej korespondentów prasy wojennej. W boju koło Łomianek poległ dowódca 4 dp. gen. Mikołaj Bołtuć, gdy z karabinem w ręku prowadził żołnierzy do natarcia.

Bitwa nad Bzurą jedna z większych bitew II wojny światowej zakończyła się klęską strony polskiej. Nie mogło być zresztą inaczej, biorąc pod uwagę ogromną przewagę sił i środków przeciwnika. Toteż sytuacji tej nie mogło zmienić największe męstwo i ofiarność wielkopolskich i pomorskich żołnierzy. Kontrofensywa polska nad Bzurą odcięła jednak na pewien okres Warszawę, związała i wyczerpała dwie armie Wehrmachtu. Są to jej historyczne pozytywy. Przebieg walk wykazał także talent dowódcy gen. Kutrzeby, wysoko oceniony m. in. przez radzieckich historyków II wojny światowej. Niech przechodzący koło grobów żołnierskich nad Bzurą — pisali w niewoli polski dowódca, „sprawiedliwie wspomną, że leżą tu jedni z tych, którzy starali się wykonać niewykonany w 1939 r. obowiązek: obronę Polski”.

*) Cytat wg. Tadeusz Kutrzeba „Bitwa nad Bzurą”. Czytelnik 1957, str. 103 i 186.

JULIAN MIKOŁAJCZAK

„O, otwórz drzwi, Lili”

Na początek uspakajające zastrzeżenie: nie chcę przyczynić się do rozpętania nowej dyskusji na przeciągniętych ponad normę łamach „Głosu”. I tak za dużo się dyskutuje, za mało — czyni. Przynajmniej w dziedzinie, o której będzie mowa. A wszystkiemu winien Feliks Bilos, dzieląc się w „Głosie Tygodnia” swymi reminiscencjami laika na temat piosenki.

Chwała laikom już za samą odwagę mówienia o sprawach, w których są dyletantami. Atoli pod warunkiem, że dyletantyzm jest tu tylko brakiem profesjonalnych powiązań z dziedziną twórczości artystycznej, a nie — ignorancją tematu. I tak też rozumie to autor felietonu „Ach witaj smutku”. Sądze, że cenniejszy jest głos laika — odbiorcy, niż najbardziej dogłębne wywniesienia reprezentanta dostojnej grupy fachowców. Bo piosenka nie jest potrzebna — ani ZAIKSOWI, ani radiu, ani recenzentom, ale po prostu człowiekowi. Sam nim jestem i stwierdzam, że membrana uszna (tak to się nazywa?) bez oporu podaje się balsamicznym tonom Przybylskiej, natomiast zwija się i kurczy konwulsyjnie w czasie radiowej pogadanki o sposobach zwalczania

nagniotków wśród plemion południowej Guadelupy. Jeżeli tedy pieśń ma służyć nam w życiu, nie może być tylko przedmiotem autorsko-kompozytorskich eksperymentów, ale trafiać niejako w sedno społecznego zapotrzebowania na to, co zwykliśmy określać mianem wzruszeń czy przeżyć artystycznych. Wzruszać się — to, nie znaczy płakać i jęczeć. Toteż słusznie stawia się Pani Piosence zarzut, że jest płaciznowo sentymentalna i nie do twarzy jej z obsesyjnym grymasem miłosnego cierpienia. Cierpić raczej ci, którzy najmniej na to zasłużyli, a więc odbiorcy. Jestem pełen zrozumienia wobec rozlicznych dramatów serca, nawet w dzisiejszej nieromantycznej epoce polistyrenu i półprzewodników, ale po co, u licha, sprawę nadającą się raczej do „Przyjaciółki” ubierać w rymomuzyczne i prezentować tzw. szerokim rzeszom?

Odczuwamy duży deficyt piosenek rozrywkowych, nie mówiąc już o humorystycznych, w których np. celują twórcy francuscy. (Przypomnijmy np. repertuar zespołu „Frères Jacques”). U nas rozrywkowość rozumiana jest przez niektórych autorów tekstów jako wyzucie się w niefrasobliwym bełkociku, za który należałoby wlepić parę miesięcy bez zawieszenia...

Nie wiem, czy może „rozertwać” pioseneczka, skąd inąd rutynowa-

Dokończenie na str. 2

OLGIERD BŁAŻEWICZ

Dramat o bezsilności?

strojów, niesamowitości rozładowanych cyniczną parodią. Powstało dzieło, w którym fabuła kryminalno-sensacyjna styka się ze światem wyrafinowanych problemów psychicznych, intelektualnych i moralnych, dramat o sumieniu ludzkości.

Tekst Dürrenmatta stawia przed teatrem ogromne zadanie. „Fizycy” są sztuką trudną, niebezpieczną dla aktorów, ale dającą szansę świetnego

TEATR

zagrania. Są sztuką wyjątkiem dla aktorów — żadne zabiegi inscenizacyjne nic tu nie pomogą — musi dojść do egzaminu aktorstwa. Przed wykonawcami staje jednak szansa koncertowego zagrania. Poznańscy „Fizycy” są przedstawieniem dobrym aktorsko, ale do „koncertu” nie dochodzi. Zabrakło wyrównanej czwórki wielkich indywidualności aktorskich. Jedynie Irena Maślińska wznosi się na wyżyny. To jest jej wielka rola. Jej Matylda von Zahnd jest inteligentną kobietą, lekarką, której nie podejrzewamy o zbrodnię; jej melamorfioza jest doskonała — działa przez zaskoczenie. Świetna jest gdy przyznaje się, że wierzy w króla Salomona, a potem wybuchu w ataku szaleństwa, staje się demoniczna, przeraża. Wśród trójki uczonych najtrudniejszą rolę miał Henryk Machalica jako Möbiusa. Newton mógł zagadkowym uśmiechem inteligentnego wariata wyjść obronną reka z egzaminu aktorskiego w pierwszym akcie sztuki. Rola Möbiusa jest bardziej złożona, a zarazem mniej

określona scenicznie. Machalica nie wyszedł poza poprawność. Henryk Olszewski w roli Newtona był obok Maślińskiej drugim bohaterem spektaklu. Potrafił zagadkowym uśmiechem i wdziękiem szaleńca ubranego w kostium Newtona przekonać, że nie jest wariatem, lecz jeszcze kimś innym. Najbardziej z całej trójki wypadł Einstein Lecha Bijalda. Wtedy gdy był on „prawdziwym” Einsteinem i mógł schować się w skorupę pozy — był do przyjęcia; ale po zdemaskowaniu się stał się szary, nijaki. Na tej czwórce spoczywał w zasadzie ciężar aktorski spektaklu, w pozostałych rolach nie było rewelacji, a inspektor policji [Zdzisław Zacharysz] był bez wyrazu i zupełnie nieprzekonywający. Reżyser spektaklu pozostał w ukryciu, w cieniu aktorów.

„Fizycy” są utworem, który z całej powojennej literatury dramatycznej zrobił największą chyba karierę. Prawie wszystkie większe teatry Europy miały go lub mają w swych repertuariach. Poznańska premiera była siódmą w Polsce. „Fizyków” wystawili już teatry w Warszawie, Łodzi, Toruniu, Krakowie, Wrocławiu i Katowicach. Dobrze się stało, że tak wybitne dzieło oglądamy w naszym mieście. Nareszcie powstało w Poznaniu wielkim repertuarem.

TEATR NOWY w Poznaniu: „Fizycy” Friedricha Dürrenmatta, komedia w 2 aktach, w przekładzie Ireny Krzywickiej i Jana Garewicza. Reżyseria Jerzego Hoffmanna, scenografia Wiesława Lange.

Wystawa w „Arsenale”



Jeszcze raz przypominamy naszym Czytelnikom o ciekawej wystawie w poznańskim „Arsenale” (Stary Rynek), poświęconej 20-leciu Ludowego Wojska Polskiego. Wystawa jest czynna do 12 bm. w dni powszednie od godz. 10—18, a dzisiaj do godz. 17. Wśród 83 prac różnych autorów, uwagę zwraca obraz olejny poznańskiego artysty Ryszarda Skupina „Ein Kampf, ein Sieg” [cykl „Nieporozumienia cywilizacji”]. Fot. — K. Przychodźki

Dürrenmatt nie wierzy w sens i możliwość napisania tragedii. Tragedia bowiem to dramat charakteru, sumienia, to walka bohaterów, świadome działanie. „Fizycy” są komedią na temat bezsilności człowieka, nieuchronności katalizmu, któremu nie można zapobiec. Są komedią z konieczności — komedią fatalistyczną, zderzoną z początkiem do końca, która narodzić się mogła tylko z przeżycia intelektualisty działaniem maszyny techniki, bombą wodorową, anonimowością wielkich managerów świata, którzy mogą w pewnym momencie podjąć decyzję o losach ludzkości. Nie podziwiamy pesymizmu Dürrenmatta, rozumiemy jednak jego potrzebę zaniepokojenia społeczeństwa, pokazania, jak ze szlachetnych intencji rodzą się zbrodnie. Genialny fizyk, przerażony własnymi odkryciami, ucieka przed światem do zakładu dla umysłowo chorych. Nie można jednak przekreślić tego co już raz zostało dokonane. Nie wystarczy nawet spalić fatalne papiery — maszyna raz puszczona w ruch toczyć się będzie już bez możliwości ingerencji jej twórcy. Szlachetni ludzie stają się mordercami — myśla, że dzięki mniejszym zbrodniom uchronią świat przed wiekami. Są jednak groźniejsi zbrodniarze od nich. I w końcu fizycy stają się postaciami komediowymi, przez swa bezsilność, przez to, że wyeksplloatowano z nich to, do czego byli zdolni, a prawo rządzenia tym należeć będzie do kogoś innego. I decydować o wszystkim będzie przypadek.

„Fizycy” są dramatem trudnym. Rodzi się nawet podejrzenie, czy Dürrenmatt nie jest szarlatanem, czy można w jednym dziele scenicznym potoczyć wielką ogólnoludzką problematykę polityczną i moralną z zespołem środków technicznych i warsztatowych, które mają za zadanie zaskakiwać widza, oświecać błyskotliwymi dialogami, mistrzostwem w budowaniu na-

NOC BEZ ŚWIATEŁ „MOULIN ROUGE”

Mnie najlepiej śpi się w „żabie”.
— A mnie w Peugeot 404.
Tak się do niego przyzwyczaiłem, że jak przyjdzie mi spać w łóżku, automatycznie podkurczam nogi i układam się w kształt siedzenia Peugeot. Pyszny wóz!

— Gorzej, jak nie ma w pobliżu nic lepszego i trzeba nocować w Dwóch Koniach (tak nazywa się mały, brezentem kryty, model Citroena).

Siedzimy u koleżanki, szczęściarzy, która odnajduje pokój. Wymieniamy doświadczenia. Za chwilę w drzwiach ukaże się „patronka” przy pominając, że zbliża się dziesiąta. Po dziesiątej w pokoju sublokatorskim goście są niepożądani. Musimy się rozejść. Każde w swoją stronę. Może letnia paryska noc okaże się przychylna? Może trafi się jakieś do bre auto do spania?

Tymczasem, wysoki Kazik spieszy nie pożera pomidory. Skąd się tu wziął? Studiował historię sztuki w Warszawie. Przyjechał do Paryża ro werem, by pogłębiać wiedzę, zobaczyć „stolicę świata”. Często się mówi: „pogłębiać wiedzę”, a jedzie się po „wielką przygodę”. Kazik ina-

czej. Naprawdę interesował go tylko gotyk. Zresztą, najlepszym tego dowodem są jego wyniki na Sorbonie. Za nie uzyskał stypendium, rzecz nader rzadka dla obcego studenta. Ma więc teraz za co jeść do syta. Gorzej jest ze spaniem.

— Nadal sypiam luksusowo! — mówi.

„Luksusowo”, to znaczy spędzając noce w cudzych, luksusowych samo-

Korespondencja z Paryża

chodach. Francuzi parkują samochody rzędem na ulicy i na ogół nie za mykają ich na noc. Kradzieże zdarzają się rzadko, raczej w formie „pożyczek”: ktoś sobie wsiadł, pojechał, załatwił sprawę i potem zostawił wóz gdzieś na drodze. Takich i zamek nie odstraszy. Stoją więc nocą wozy otworem, do wyboru, do koloru. Tylko się przycaić, wsiadł, skulić i spać. Trzeba się jednak za wcześnie obudzić. Bo gdy właściciel zdybie gościa w wozie, awantura, policja, no, i jest się na wieki wieków „spalony”. Kazik jest wytrawnym bywalcem „samochodowych hoteli”. Nie on jeden, zresztą,

Ten proceder uprawia wielu biednych, bezdomnych mieszkańców zachodnio-europejskich stolic.

Drugim takim „noclegowiczem”, z kręgu naszych znajomych na paryskim bruku, jest Włoch, Vittorio. Ma osiemnaście lat, wielkie, dziewczęce oczy i słaby charakter. Ale u Vittorio wszystko się zmieniło. Raz, nocując w samochodzie, Vittorio zasnął. Właściciel okazał się dobrym panem, nie wołał policji. Przez ciwnie, polubił Vittorio. Lubił zresztą wszystkich chłopców. Vittorio zamieszkał w domu dobrego pana, a samochodem już tylko jeździł. Nauka poszła w ką. Losy dziewcząt układają się nieco inaczej, ale końcowy etap jest często podobny:

Albo człowiek jest twardy, ma jasno wytknięty cel i potrafi się oprzeć nęcącemu pokusom pozornie łatwego życia, zakamuflowanego rzekomą wolnością osobistą i szansą równego dla wszystkich startu życiowego — albo też ulegnie tym złudnym mirażom i pójdzie w baniek — a wtedy już odwrotu nie ma.

A kogo, mając osiemnaście lat, puścić kieszki i pusty brzuch — stać na właściwe rozeznanie? Ileż dziewcząt, którym za granicą dostępna jest tylko praca służącej eksploatowanej niemilosierdzie na mieszkanie i wyżywienie (gdyż w obcym kraju nie chroni jej żadne prawo pracy) — wytrwa do końca i nie ulegnie pierwszej nastroczającej się okazji?!

W sądach londyńskich toczył się niedawno proces ośmioletniego dr. Warda. Dr Ward nie był niczym szczególnym. Był nieuchronnym wykwitem swojej epoki, swojego ustroju społecznego, ustroju „wolnej” konkurencji. Wolnej nie tylko w produkcji, ale także w możliwości wywierania takich czy innych presji na „wolny” wybór innych. Mam na myśli szeregi młodych dziewcząt, najczęściej cudzoziemek, w których „spod wpływów swojego środowiska, na które pod tym czy innym płaszczykiem cychają setki „doktorów Wardów”. Spoglądają na mnie z fotografii prasowych zamysłone, przerażone w gruncie rzeczy smutne twarze młodych dziewcząt, zamroczone alkoholem i narkotykami, które zatraciły rozeznanie między dobrem a złem. A wszystko zwykłe zaczynało się tak niewinnie! Od podróży do obcego, „szczęśliwego” kraju po wiedzę i pracę.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Spod znaku MON

Rozpoczął ten przegląd pragnąłbym od pozycji, przynależących Wydawnictwu szczególny tytuł do chwały. Myślę o dziele publicacji na tematy międzynarodowe, ze szczególnym uwzględnieniem spraw związanych z Polską, publikacji, łączących obiektywizm naukowy z atrakcyjnością i przedmiotem, i jego podania. Mieszkańców Poznania i Wielkopolski zainteresuje praca Michała Piłki „Niemiecka polityka wywłaszczeniowa na ziemiach polskich w latach 1907—8”, będąca pierwszą próbą monograficznego ujęcia polityki wywłaszczeniowej Bułowa w sprawie polskiej. Autor wykorzystał olbrzymią ilość materiałów, zwłaszcza udostępnionych obecnie przez archiwum NRD dawnych akt pruskich, w tym protokołów z posiedzeń rządu pruskiego. Bardzo interesujące są nastroje i konkretne akty irredenty polskiej w Wielkopolsce, przeciwstawiając się poczynaniom Bułowa. Bogaty serwis dokumentalny i zdjęciowy, aneksy, mapy, uzupełniają książkę.

Drugą pracą, związaną z tak zdawałoby się niedawnymi czasami, będącymi zarazem odległą historią, jest studium Jarosława Jurkiewicza „Pakt wschodni”, gdzie znajdujemy naświet-

lenie stosunków międzynarodowych w latach 1934—35, na tle pamiętnej inicjatywy radziecko-francuskiej, znanej lepiej pod nazwą inicjatywy Litwinowa—Barthou, stanowiącej próbę zażegnania rysującej się już wtedy przysiężonej katastrofy wojennej. Na tle bogatego materiału archiwalnego autor szczególnie zajął się słownikiem Polski wobec koncepcji Paku Wschodniego, Polski, związanej już z Niemcami układem z 26 stycznia 1934.

MON konsekwentnie troszczy się o sforsowanie pełnego obrazu dzieł minioniej wojny i udziału w niej pol-

Z KSIĄŻKĄ NA TY

skich formacji bojowych. Z tego zakresu należy wymienić książkę Mieczysława Juchniewicza „Począł Polowa 52160”, w monograficzny sposób nawiązującą do dzieła 35 pułku piechoty, wchodzącego w skład 7 Łużyckiej Dywizji Piechoty, jednak kroczącej inną niż jednostka macierzysta szlakiem bojowym i różniacej się także charakterem działań. Szlak pułku poznajemy od okresu formowania się go w lubelskich Trawnach, aż po walki z bandami UPA. Dla poznawców szczególnie interesujące będą partie, nawiązujące styczniowe walki 1945 roku w Poznaniu i udział w nich 2 batalionu pod dowództwem kpt. Michała Świerczewskiego. Henryk Hubert, kronikarz I Armii WP opublikował nową książkę pod

Polsko-bułgarskie kontakty literackie

Ponad 100 lat trwają literackie kontakty polsko-bułgarskie. Podobne losy obu narodów zbliżyły je do siebie. Losami walczącej o wyzwolenie Bułgarii żywo interesowali się polscy pisarze, poświęcając jej wiele swoich utworów. Podobne zainteresowanie Polską cechowało pisarzy bułgarskich. Za pierwszy bułgarski przekład z literatury pięknej uważany jest słynny „Chorał” Kornela Ujejskiego. Przekład ten opublikowany został w 1861 r. przez Rajko Zenyfiowa, jednego z pierwszych popularyzatorów naszej literatury w Bułgarii. W ciągu 100 lat Bułgarzy poznali najcenniejsze utwory polskich poetów i prozaików.

Dzieła naszych wielkich poetów: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Kasprówicza, Wyspiańskiego, Tetmajera, powieściopisarzy: Sienkiewicza, Prusa, Krasińskiego, Reymonta, Żeromskiego, dramaturgów: Fredry i Złapalskiego oraz wielu innych miały szereg wydań w Bułgarii. Po wojnie, w okresie od 1944 do 1963, wydano ponad 100 tysięcy tytułów książek pisarzy polskich dawnych i współczesnych. Pojawili się nowe przekłady najwybitniejszych dzieł klasyków polskich, wśród których na czoło wysuwa się pełny, znakomity przekład „Pana Tadeusza” dokonany przez Błagę Dymitrową. Wielką popularyzatorką i przyjaciółką polskiej poezji jest znakomita tłumaczka Dora Gabe.

W ciągu ostatnich lat Bułgarzy poznali też wiele utworów naszych pisarzy współczesnych. Przełożono na język bułgarski „Noce i dnie” Dąbrowskiej, „Sławę i chwałę” Iwaszkiewicza, utwory Brezy, Kazimierza Brandysa, Hena, Kruczkowskiego, Konwickiego, Lema, Macha, Nakowskiej, Newerlego, Paradowskiego, Putramenta, Szmaglewskiej, Żukrowskiego. Bardzo popularna jest w Bułgarii poezja Broniewskiego.

Sztuki wielu polskich pisarzy grane były na scenach bułgarskich teatrów, a niektóre z nich wydane zostały w oddzielnych tomikach.

Również w Polsce literatura bułgarska jest znana coraz lepiej. Dobrze znane są polskim czytelnikom nazwiska znakomitych pisarzy i poetów: Christo Botewa, Christo Smirneskiego, Iwana Wazowa, Nikoły Wapcarowa i współczesnych — Stojana Daskałowa, Dymitra Dimowa, Andreja Guliaszki, Dymitra Talewa, Emiliana Stanewa, Angeła Karalijczewa. Polscy tłumacze poezji bułgarskiej — znani poeci Anna Kamińska i Jan Śpiewak — otrzymali przed kilku laty nagrodę bułgarskiego PEN-CLUBU.

Wśród pozycji, które wydano w tym roku, niewątpliwym bestsellerem była sensacyjna powieść A. Guliaszki „Kontrwywiad”. Ponadto ukazały się lub ukazały w bież. roku „Noc na bulwarach” Bogumiła Rajnowa, „Wojna z aniołem” Emiliana Stanewa, „Perunika” E. Korałowa i — dla młodszych czytelników — „Wanku” I. Martinowa i „Bango” M. Mesieczkowa. W opracowaniu znajduje się obszerna „Antologia poezji bułgarskiej”.

Sporo również ukazuje się u nas książek polskich autorów o Bułgarii. Wystarczy choćby przypomnieć „Góry nad Czarnym Morzem” Wilhelma Macha, dwie książki Lesława Bartelskiego „Złota mahmudia” i wydane ostatnio szkice o ziemi bułgarskiej pt. „Jeździec z Madary”. (Kt — PAP).

„O, otwórz drzwi, Lili”

Dokończenie ze str. 1

nych twórców A. Bianusza i A. Markiewicz, której fragmentek pozwolę sobie zaprezentować:

O, otwórz drzwi, Lili,
O, otwórz drzwi!
Chcemy ci sprawić niespodziankę.
O, otwórz drzwi Lili,
O, otwórz drzwi,
a zaprosimy cię na randkę.
O, otwórz drzwi Lili!
O, otwórz drzwi,
tak bardzo cię przecież kochamy!
O, otwórz drzwi, Lili!
O, otwórz drzwi,
o ile w domu nie ma mamy!
Jak to się stało, nie rozumiemy,
lecz cię kochamy, więc uwierz nam!

Inną cechą, mogącą zniechęcić masowego słuchacza do wielu piosenek, jest ich tematyczna ograniczoność. Gdyby np. urządzić spis powszechny piosenek i zbadać, gdzie „dzieje się” większość z nich, okazałoby się, że jedynym miastem, godnym opiewania, jest Warszawa. W reszcie kraju nie ma nic ciekawego, nic, co mogłoby zapłodnić wyobraźnię twórców. Większość tematycznych pomysłów poczęta jest w dymku stołecznej kawiarni, nie ma więc w nich miejsca na piękno, urok i poezję innych zakątków kraju, zamieszkałych przez... pozostałych 29 milionów ludzi. Udało mi się usłyszeć kiedyś jedną skromniutką piosenkę bodaj o jeziorze Wigry na Mazurach, ale nadal nikt nie opiewa piękna naszego Wybrzeża, czarnego Śląska, Torunia czy Krakowa... Nie chcę powiedzieć, że piosenki o tematyce tzw. regionalnej, w ogóle nie powstają. Owszem, rodzą się (we Wrocławiu, Poznaniu...), ale sęk w tym, że nie przekraczają lokalnych opłotków, nie stają się produktem lansowanym na rynku ogólnopolskim. Jak bowiem wiadomo, nie od dziś, piosenka czasem staje się popularna nie wyłącznie dla swoich wybitnych zalet. Często dzieje się tak dlatego, że jest nagrana i lansowana przez tzw. środki masowego przekazu. A ponieważ te środki scentralizowane są

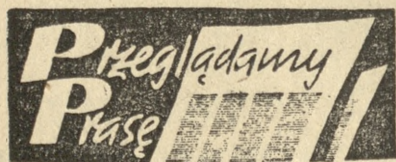
w stolicy, więc... resztę sobie dopiewajcie.

Urodziło się kilka niezłych podobno utworów w wiosennym programie, poznańskiego Kabaretu Piosenki. Mówię „podobno”, ponieważ nie dane mi było oglądać programu. Ale czyżbym był aż tak nieważnym słuchaczem radia, żeby nie wyłowić któregoś z nich na fal 407 m — 737 kHz?... Czyż jestem aż tak roztargnionym czytelnikiem miejscowej prasy, aby nie zauważyć druku tych piosenek? A przecież recenzenci radia i prasy mówili, że były ładne i na poziomie. Więc? „Dusza” Kabaretu był pracownik rozgłośni poznańskiej, autor zresztą kilku interesujących tekstów. Czyż nie można było, panie Andrzej, chociaż „po kumotersku” spowodować wyłansowania na antenie kilku najlepszych utworów z omawianego programu? Wysiłek poetów i kompozytorów (naszych, poznańskich) winien być jakoś zdyskontowany. Nie wystarczy piosenki stworzyć, nie wystarczy jej nagrodzić (stałe słyszymy o konkursowych sukcesach Scisłowskiego i Konopińskiego!). Trzeba ją grać, śpiewać, drukować, przypominać i powtarzać — niemal aż do granic wytrzymałości słuchacza. Nie jest najszybszą formą popularyzacji, jaką zastosowano przed paru laty wobec pewnej piosenki niżej podpisanego: grano ją przez dwa tygodnie codziennie rano o godzinie 9 na otwarcie terenów MTP — ku zdumieniu zwiędziających i rozpaczy autora. Natomiast twierdząc, że utworów nowych trzeba grać możliwie często. Jeżeli reklamy wymagają nowe typy telewizorów czy zimowe płaszcze dla pań, czemu skąpić tej reklamy dobrej nowej piosence?

Myślę, że patronat nad tą galęzią twórczości nie powinien być zbyt uciążliwy dla „Estrady”. Szkoda też, że od pewnego czasu z pism wychodzących w Poznaniu nuty i teksty piosenek drukuje jedynie... „Gazeta Chłopska”.

Sezon jesienno-zimowy — przed nami. Święta okazały do odrobienia zaległości i zmazania grzechów, jeśli zostały popełnione.

JULIAN MIKOŁAJCZAK



WRZESIEŃ 1939

W „Kulturze” pisze na ten temat Stanisław Zieliński — „Wrzesień czyli rehabilitacja”. Jest to rozważanie nad wspomnieniami wojennymi Franciszka Skibińskiego („Pierwsza pancerna” — Czytelnik).

„Nasi żołnierze bili się doskonale — przeszli ten chrzest bojowy bez śladu kompleksu niższości — pisze autor. — Armaty pancerne 37 mm potwierdziły po kładane w nich nadzieje — w ciągu tego dnia mieliśmy na rozkładzie 40 do 50 czołgów niemieckich. Obsługi dział były się dosłownie aż do śmierci: dopóki dział nie zostało rozbite przez nieprzyjaciela, dopóki załoga nie została rozjechana przez czołgi... Szczególnie odznaczył się w walce działonowy — kapral Dziechciarz — który sam jeden zniszczył ogniem swego działasiedem czołgów niemieckich i w końcu zginął rozstrzelany zapalającą amunicją przez

3 czołgi napierające jednocześnie z trzech stron. Dziechciarz spalił się na węgiel.”

O Wrześniu pisano i pisze się nadal bardzo dużo. Od tamtego czasu do dziś dnia doszliśmy do rzeczowego stwierdzenia, że przegraliśmy wówczas „bitwę straży przedniej”. Jest dla nas jasne, że Wrzesień 1939 stał się początkiem trudnej próby patriotyzmu. Z próby tej nasz naród wyszedł zwycięsko.

JUBILEUSZ W PILE

Taki tytuł nosi reportaż Tadeusza Kołodziejczyka, opublikowany na łamach „Polityki”. Autor już wiele razy pisał w „Polityce” o tym mieście, co prawie zawsze odnotowywaliśmy w tej rubryce. Były to materiały krytyczne, piętnujące działalność klik i bezdusność. Tym razem T. Kołodziejczyk jest oczarowany zmianami, które zaszły w Pile od czasu jego ostatniej wizyty przed 2 laty. Wylicza inicjatywy, chwali lokalny patriotyzm mieszkańców, którzy w coraz większym stopniu odzyskują zaufanie do swej władzy.

„Powstało Piłskie Towarzystwo Kulturalne, jako koordynator wszelkich poczynań kulturalnych. Rzutki i ciekawie

redagowany miesięcznik piłski „Ziemia Nadnotecka” — coraz bardziej wchodzić w problematykę regionu — zainicjował Piłski Turniej Poetycki, imprezę powtarzając już drugi rok z udziałem czołowych poetów regionu i województwa. Po wiadają, że „Piła pozyskała sobie poezję, albo poezja pozyskała sobie Piłę”. Coś w tym jest zważywszy, że młodzi poeci odbywają przy okazji liczne spotkania z załogami zakładów pracy. Tenże miesięcznik prowadzi wytrwale Galerię Ziemi Nadnoteckiej, w której już na kilkunastu wystawach pokazano współczesne malarstwo i grafikę.”

O PRYWATNEJ PRAKTYCE LEKARZA

„Służba Zdrowia” kontynuuje dyskusję na temat praktyki prywatnej lekarzy. Tym razem zabiera głos Romuald W. Guff artykułem pt. „Szukajmy sedna sprawy...”. „Niezmiernie trudnym problemem będzie wychowanie nowego typu pacjenta. Ten bowiem przywykł już do pewnych pojęć, przekazywanych z pokolenia i pokolenia, czerpanych z tradycji ustnej i pisanej. Człowiek chory wymaga przede wszystkim zainteresowania bezpośredniego, a jeżeli leczenie ma być uwieńczone powodzeniem, chory musi mieć zaufanie do swego lekarza. Jeżeli wizytę w poradni lecznictwa uspołecznionego warun-

kuje uprzedni kontakt z rejestracją (kollektą), jeżeli w poczekalni nie zawsze estetycznej (...), prócz ludzi chorych tkwi pewien odsetek petentów, zamierzających usankcjonować (...), nieobecność w pracy (...), nie można dziwić się ludzom rzeczywiście chorym i oczekującym od lekarza, prócz recepty, także pewnego rodzaju pociechy, że woła wizytę w gabinecie prywatnym, tym więcej, że wtedy bez zastrzeżeń mogą sobie wybrać lekarza.”

DO NAUCZYCIELI

„Głos Nauczycielski” z okazji rozpoczęcia dwudziestego roku szkolnego w Polsce Ludowej zamieszcza artykuł wspólny pt. „Minister Oświaty — do nauczycieli”. Wypowiedź ta jest podsumowaniem dotychczasowych osiągnięć szkolnictwa oraz wytyczeniem nowych zadań czekających nauczycieli w związku z realizacją programu nauczania 8-klasowej szkoły podstawowej. W związku z tym ostatnim, Minister Oświaty stwierdza:

„Nowy program stanowi nasz wspólny dorobek; znalazły w nim bowiem wyraz postulaty polskiego nauczycielstwa — zmierzające do stworzenia nowoczesnej szkoły, szkoły służącej naszej socjali-

stycznej Ojczyźnie i uwzględniającej prawo dziecka do nauki na miarę jego możliwości i na miarę potrzeb budownictwa socjalistycznego.”

CZY WINNA TYLKO ZIMA!

Jerzy Gniewaszewski w artykule pt. „Czy winna tylko zima?” — pisze na łamach „Życia Gospodarczego” o produkcji i kosztach budownictwa. Wiadomo, że wskutek „zimy stulecia” gospodarka poniosła wiele strat. Zapadły już decyzje rządowe, obniżające odpowiednio roczne zadania budownictwa. Jednakże — jak wykazują fakty — zawińa nie tylko zima. Autor stara się znaleźć odpowiedź na pytanie, co zrobić, by podobna sytuacja nie powtórzyła się w przyszłości. Oto jeden z wniosków: „Należy znacznie podnieść dyscyplinę pracy i płacy. Ilość normalnych godzin przepracowanych w skali rocznej na jednego zatrudnionego robotnika grupy wytwórczej zmniejszyła się z 2.114 w 1960 r. do 2.092 w 1962. I to przy jednoczesnym utrzymaniu się ilości godzin nieprzepracowanych, nieusprawiedliwionych na poziomie 24, tj. prawie 2,4 raza wyższym od notowanego w przemyśle.”

LEKTOR